

PISEMKO KUŹNICZANEK

MIESIĘCZIK

Rok VI. Nr. 8 i 9. Pren. rocz. 4'50 Sierp. i Wrześ. 1926

Chrystus życiem duszy.

Są słowa w Piśmie św. dziwne dla rozumu z powodu głębokiej tajemnicy, której rąbek uchylają, inne znówu dziwne dla serca z powodu niepojętej dobroci, którą objawiają. Ale są takie słowa, które łączą w sobie oba te zjawiska np: te słowa P. Jezusa: „Jam jest droga i prawda i żywot“ (Jan 14⁶), „Mieszkajcie we mnie, a ja w was... kto mieszka we mnie, a ja w nim, ten siła owoców przynosi“ (Jan 15⁴⁵). I te słowa św. Pawła: „Chrystus w Was jest (Rzym 8¹⁰) albo: „nie znacie samych siebie, że w Was jest Jezus Chrystus“ (2 Kor 13⁵) „Żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus“ (Gal 2²⁰).

Jakkolwiek dziwne są te słowa, nie mamy prawa ich zmieniać, są to słowa Tego, który jest drogą i prawdą, który ma słowa żywota wiecznego. Przyjmijmy je z uszanowaniem, ukorzymy nasz rozum, przygotujmy serce i wolę, abyśmy mogli choć w części je zrozumieć i odpowiedzieć temu, czego one od nas wymagają.

Jezus Chrystus jest życiem, to znaczy, że wszystko co nie jest Jezusem, lub nie jest ożywione Jego duchem, jest bez życia, jest śmiercią.

W pierwszych czasach chrześcijaństwa w mieście Sardes była gmina chrześcijańska z biskupem na czele, była ona zbudowaniem kościoła, modlono się tam, wspomagano biednych; św. Jan daje o tem świadectwo: „znam uczynki twoje, iż masz imię że żyjesz, (Ob 3¹).

W czasach pierwszej gorliwości kościoła, gdy prześladowanie coraz więcej kościół oczyszczało, zapewnienie „życia“ było dowodem nie tylko zewnętrznej pobożności, ale dawało pozór świętości, żarliwej pracy i gorliwości. Lecz posłuchajmy dalszego świadectwa św. Jana: „Znam uczynki Twoje iż masz imię że żyjesz, aleś jest umarły“. Słowa te są przerażające, przede wszystkim przerażające dlatego, że mogą się do nas stosować.

Czy nie brakuje czegoś naszej pracy, naszemu poświęceniu, naszej modlitwie, czy nie brakuje czegoś w naszym sądzeniu o rzeczach, w naszym charakterze, naszemu sumieniu chrześcijańskiemu, a właściwie brakuje nam wszystkiego, jeśli nam brak Jezusa Chr. i Jego ducha.

J. Chr. jest życiem, to znaczy, że może i powinien być dla nas wszystkim, co zasługuje na miano życia, nawet życiem ciała. Ciało nie jest czemś odrębnem, ono jest odzieniem duszy, ale i czemś więcej, bo istotną częścią człowieka. Jest ono narzędziem, ale i czemś więcej, bo niema pracy umysłowej, w którejby nie brało udziału i która mogłaby się obejść bez niego.

Ciało służy duszy w najgłębszym tego słowa znaczeniu, bo oddziaływuje na nią i współdziała w jej wyrabianiu się. Gdyby ciało

było tylko oderwanem narzędziem, nie zmarłychwstałoby, a zmarłychwstanie, bo ma udział w zasługach duszy. I właśnie w tej mierze, w której ciało stanowi część człowieka, Jezus jest życiem tego ciała.

Św. Paweł nie robi różnicy między duszą a ciałem mówiąc: „Jesteście ciałem Chrystusowem. (1 Kor 12²⁷) Wyraził to co my staramy się obecnie zrozumieć: „Nie wiecie iż ciała wasze są członkami Chrystusowemi“. (1 Kor) A jakże głębokie znaczenie słów wypowiedzianych przez P. Jezusa wobec zmarłego Łazarza: „Jam jest zmarłychwstanie i żywot“, daje tem do zrozumienia do jakiego stopnia On jest jedynym życiem naszym. (Jan II²⁵ Jan 6⁴⁹ i Kolos 1⁴).

Jezeli Jezus jest życiem naszego ciała, nie możemy wątpić, że jest życiem i naszego umysłu. On który jest prawdą, On który jest światłością ludzi (Jan 1⁴)

Wiara nas uczy, że w nas jest jeszcze inne życie, przez które stajemy się „uczestnikami boskiego przyrodzenia“, (2 Piotr 1⁴) (Jan 1¹²) że to boskie życie w nas, którego pochodzenie przypisane jest Duchowi św. jest udziałem w życiu i świętości Chrystusowej.

Wszystkie teksty przytoczone powyżej; dadzą się streścić w słowach św. Pawła: Chrystus mieszka w sercach naszych. Chrystus żyje w nas, kształtuje się i rośnie w nas.

Jezus Chr. żyje we mnie; albo raczej może i chce żyć we mnie. „Oto siejący wyszedł siał, a gdy siał jedno padło podle drogi, a ptaki niebieskie przyszły i pojadły je; a drugie padło na opoczystą, gdzie nie miało wiele ziemi, a gdy słońce zeszło uschło; a drugie padło w ciernie.... który sieje, słowo sieje (Marek 4³)

Słowo żywe, słowo Boże to J. Chr. On jest tem ziarnem w nas, ziarnem, które możemy dać porwać, zadusić, jest kwasem, o którym mówił (Mat 13³³). Kwas to On, a my jesteśmy zaczynieniem, (1 Kor 5⁷) zacznieniem często suchem, bezpłodnem, zepsutem innemi kwasami, które może zabić życie nam powierzone.

Mamy rzeczywiście tę straszną moc. Pan nasz daje nam swoje dary, daje nam Siebie samego, ale nam tych darów nie narzuca. Jakich więc warunków trzeba, abyśmy mieli życie, to jest aby On w nas żył?... d. c. n.

Z nauki O. Brillet.

Z życia P. Jenerałowej. (młodość)

W lutym następnego roku wypadł ślub mojej siostry z X. Adamem Czartoryskim. Mogłabym powiedzieć, że to był mój pierwszy wielki smutek, a raczej pierwsze zmarwienie.

Miałam wówczas lat 15; X. Adama zupełnie nie byłam w stanie ani zrozumieć, ani ocenić. Rzadka i wyjątkowa prawda jego charakteru, niezmierna delikatność, dobre wychowanie, ułożenie, wykształcenie, zdrowy sąd, sprawiedliwość we wszystkich stosunkach, porządek w prowadzeniu interesów, domu, w kierowaniu sobą samym, były to u niego pierwszorządne zalety, któremi przywiązywał i przywiązał do siebie wrzystkich tych, co bliskie z nim mieli sto-

sunki, ale ja tego wrzyskiego ocenić nie byłam w stanie, zdawało mi się, że te zalety każdy posiada i że one nie tworzą szczególnych praw do miłości.

On też nie zdawał się domagać od siostry mojej miłości dla siebie, ale dla dzieci. Nie mówił do niej o sobie, ale o nich; nie wiem w istocie czy to pochodziło ze zbytnej skromności, czy z rachuby i doskonałego ocenienia usposobienia siostry.

Jeżeli mnie moje ówczesne wrażenia nie zawodzą, to on się przed siostrą nie krył wcale z żalobą, jaką w sercu po X-nie Wandzie nosił, może i tą bronią walczył, ażeby ją sobie zdobyć. Że się na siostrze mojej poznał o tem jestem przekonana, zdaje mi się, że i ona na nim się poznała; ale to pewna, że on nie posiadał warunków jak myślę w których siostra byłaby dla siebie szczęścia szukała. Mawialiśmy żartem, że Izia nie idzie za męża, ale za dzieci.

Coś w tem było prawdy.

Oni się z dnia na dzień lepiej poznawali, wzajemnie oceniali i kochali.

Przekonałam się o tem później, ale wtedy to zamęcie zrobiło na mnie wrażenie pogrzebu i nieodzownej dla mnie straty. A że to zamęcie było pierwszym, na którym byłam obecną, tak jak po urodzeniu siostry mojej Anny, ona była pierwszym niemowlęciem, któremu się przypatryłam, te dwa wypadki życia ludzkiego, zamęcie i urodzenie jakoś mi się zapisały w pamięci pod ciemną gwiazdą. W ostatnich latach pobytu siostry Izzy w domu P. Birt musiały więcęj nią, niż mną się zajmować, tembardziej że ja mało co i mało kiedy uczyć się mogłam. Po zamęściu siostry stosunki moje z P. Birt o wiele jeszcze bliższe się stały. Tem bliższe, że wskutek obecności p. X wszystko inne niemiędem było. Zrobiło się jakby zakłęte koło bez wyjścia. Im nam p. X bardziej życie zatrzuwała, tem ja bardziej lgnęłam do P. Birt, od wszystkiego od wszystkich do niej umykałam, z nią się śmiałam, z nią rozmawiałam, u niej płakałam. A im tego więcęj było i im się to więcęj na zewnątrz zdradzało, tem p. X wymowniej dowodziła Matce, jak zgubny wpływ P. Birt na mnie wywiera, a tem samem nieznośniejszą mi się stawała i bardziej mnie wpędzała w to, co ganiła.

Z czasem jednak, przyszłam przynajmniej pod tym względem do pewnej równowagi i to bardzo prostym argumentem. Zadałam sobie pytanie: Kto tu jest panią? czy Matka, czy my? Jeżeli Matka, jakież my mamy prawo wymyślać na osobę, która jej się podoba? Jeżeli p. X mówi Matce to co myśli, jakież możemy żądać, ażeby inaczej myślała i inaczej mówiła niż myśli? Wszak to rzecz niepodobna.

Zrozumiałam, że to dla Matki musi być rzeczą bardzo przykrą i postanowiłam cały ten stosunek, a raczej stan rzeczy zmienić.

Słyszałam, że rządy skazują czasem ludzi na śmierć cywilną. Pomyślałam sobie, że ja muszę p. X skazać wobec siebie t. j. wobec mnie, na taką śmierć, w taki sposób, ażeby jej słowa i czyny były dla mnie jakby nie były t. j. żeby ich nie brać do serca, a jednak

skądinąd tak się względem niej zachować, ażeby Matce mojej nigdy zachowaniem swoim przykrości nie sprawić.

Pomyślałam sobie: gdyby ta osoba miała pomieszanie zmysłów, tobym jednak starała się być dla niej uprzejmą i dobrą, chociażbym nie zrobiła z niej swojej przyjaciółki; czemubym nie czyniła dla p. X zdrowej tego, coby dla niej czyniła gdyby była obłąkana.

Dość, że tak sobie tę sprawę wyargumentowałam, że chociaż nieraz zaszyły rzeczy takie, które sprawiedliwie mogły mnie być oburzyć, już się tem poruszać nie dałam i doszłam do bardzo przyzwyczajonego stosunku z tą osobą.

Nauczyłam się tak panować nad sobą, że któregoś dnia, gdy wszystko we mnie jeszcze kipiało, Ojciec patrząc na moją nieruchomą twarz, powiedział: „que pense ce visage de marbre.“ Wtedy zdawało mi się że już doszłam do pożądanego celu. Że bierność nie jest celem, dowiedziałam się dopiero o wiele później.

Z tem wszystkiem pod wielu względami byłam do najwyższego stopnia dziecinną. P. Birt miała duże angielskie łóżko o czterech słupach z firankami. Gdy jej chciałam figla spłacać, zaciągałam te firanki i wewnątrz pokój na łóżku sobie układałam. Zastawiałam stół z kałamarzem i papierami — stołek na którym przed tym biurem siedziałam niby to pisząc, gdy ona mnie po wszystkich pokojach szukała. Doszedłszy do swego, te spuszczone firanki naprowadzały ją na myśl, że coś podejrzanego za niemi się dzieje. P. Birt robiła jakies angielskie przysmaki, które Ojcu przyjemność sprawiały i stawiała je dla bezpieczeństwa na najwyższej półce jakiejś wysokiej szafy. Ja przystawiałam stół do szafy, na stole stawiałam stołek na którym zasiadałam, a gdy słyszałam że P. Birt idzie, zabierałam się do słojów ogromną stołową łyżką i wołałam na nią patrzącą z przerażeniem na ten rabunek: „spiesz się spiesz, bo wszystko zjem aż do dna“.

Ogromnego psa Sultana tak wprawiłam do zabawy i do gonitwy za mną, że jak warjat mnie gonił, a ja ostatecznie ze strachem przed nim uciekałam.

Gdy kiedyś przed nim zmykała w kórnickim parku, on przyłeciał w szalonym pędzie ku mnie, skoczył mi na ramiona łapami, a roździawiwszy ogromną swą paszczę, schwycił mi twarz między zęby tak, że dolnemi zębami zadrasnął mnie pod brodą, a górnemi ponad nosem. Nie miał zamiaru ugryzienia mnie, ale i w zabawie niekoniecznie miło mi było, wejrzeć mu w głąb gardła.

Nie wiem czy te szalone gonitwy, czy inna jaka była przyczyna, żem się nabawiła niesłychanego bicia serca, które trwało lat kilka. To bicie serca było tak gwałtowne, że po poruszeniach sukni można było uderzenia jego rachować i słyszeć je wcale ucha do piersi nie przykładając.

Matka zawiozła mnie do jakiegoś berlińskiego doktora, który orzekł, że serce moje prędzej urosło od reszty ciała i że mu ciasno, ale że jak wyrosnę zupełnie, to choroba minie.

Wydała mi się choroba ta wyjątkowo piękną i szlachetną.

Dziwiącego listopada 1847 r. urodziło się pierwsze dziecko sio-

stry mojej Jaś. Matka na tę chwilę pojechała do niej do Drezna i mnie ze sobą zabrała.

Wielka to była radość jechać tak w świat, sam na sam z Matką; chodziło mi też o to, żeby jej pokazać, że wszystko to, co P. Birt zarzucano jest niesprawiedliwym i że wszelkiego rodzaju cnót posiadam na wyrost.

Nie wiem czym się łudziła, ale pochlebiałam sobie, że wprowadzam Matkę w niemałe zdumienie moim porządkiem, uprzejmością, akuracnością, trzema zaletami, których brakiem zwykle się odznaczałam.

Nie zawsze jednak zachwycałam Matkę moją roztropnością. Dzieci X. Adama Czartoryskiego miały nauczycielkę niemkę P-nę Gumpert, autorkę mnóstwa niemieckich książek dla dzieci. Któregoś dnia był tam proszony podwieczorek dla dzieci i podlotków. P. Gumpert nauczyła nas jakiejś gry, w której każdy miał napisać na jakimś papierku, czego najbardziej w życiu pragnie, a potem ktoś miał czytać te wszystkie życzenia, a wszyscy mieli zgadywać od kogo które pochodzi.

Panna Gumpert podjęła się czytania tych życzeń. Kiedy przyszło do mojej kartki, z widocznym zgorzaniem nie przeczytawszy głośno włożyła do kieszeni.

Nie rozumiałam wcale o co jej chodzi i myślałam, że zgorziona mojem brzydkim pismem, które w istocie dla braku wprawy było ohydne. Ale nie oto chodziło; po skończonej zabawie Panna Gumpert ostrzegła moją Matkę, że takie nieprzyzwoite życzenie napisałam na tej kartce, że go wcale przeczytać nie mogła i że uważa za swój obowiązek Matkę moją ostrzec o mojem złem wychowaniu.

Matka trochę zdziwiona mówi, że nie rozumie co miałam na myśli i że mnie wypyta. Ja już spałam, czy usypiałam, kiedy Matka pokazała Ojcu kartkę, na której spisałam moje desiderata.

Ojciec rozśmiał się na to i przyszedł mnie zapytać, co znaczy życzenie przezemnie wyrażone, żebym mogła mieć tyle dzieci, ile jest gwiazd na niebie.

Ja zaś wydziwić się nie mogłam, że tego wszyscy nie rozumieją — rzecz była oczywista, mając tyle dzieci miałabym wojsko pod moimi rozkazami; Niemców i Moskali bym wypędziła i Polskę odbudowała.

Taką rzecz nie trudno było rodzicom wytłumaczyć, ale jak oni ją wytłumaczyli P-nie Gumpert tego nie wiem. Zdaje mi się, że Matka miała jej powiedzieć, że miałam jakieś filantropijne cele w myśli.

O szkołach gospodarczych zagranicą.

Wysłana przez Zakład Kórnicki zwiedzałam szkoły gospodarcze żeńskie w Danji, Holandji, Belgji i Szwajcarji; chciałabym więc podzielić się niektórymi spostrzeżeniami o tychże szkołach z gronem czytelniczek „Pisemka“.

W Danji, Holandji i Szwajcarji, nietylko w miastach ale i na wsi, szkoły gospodarstwa domowego mają raczej charakter miejski

Odbywa się w nich nauka kucharstwa, prania, szycia i porządków domowych; na wsi trochę ogrodnictwa i hodowli drobiu.

W krajach tych nauka mleczarstwa dla kobiet nie istnieje, gdyż wszędzie są mleczarnie związkowe prowadzone przez mężczyzn. Hodowlą bydła i trzody, kobiety zupełnie się nie zajmują. Nauka piekarstwa nie odgrywa też żadnej roli, gdyż piekarnie mechaniczne zapatrują wszystkich w piecywo.

W wielu z tych szkół, zwłaszcza w Danji, na uwagę zasługuje urządzenie kuchni i sposób prowadzenia nauki kucharstwa. N. p. w dużej sali gdzie uczenie jest przeszło 20 każda ma swój piecyk gazowy i stolik do przyrządzania potraw, każda więc zupełnie samodzielnie może i powinna wykonać robotę.

Zwykle cztery do pięciu uczenie tworzy grupę, tak zwaną „rodzinę“ z których kolejno jedna jest „gospodynią“. Gospodyni odpowiada za porządek, czystość i wydaje prowianty, a z następnych, każda gotuje jedną potrawę na 5 osób. Czasem dla odmiany jedna uczenica musi ugotować cały obiad na 2—3 osób.

Praktyka jest poprzedzona wykładem, poczem wszystkie „rodziny“ gotują taki sam obiad. Następnie obliczają koszt obiadu.

Oprócz pieców gazowych jest kilka małych kuchenek węglowych i elektrycznych, aby uczennice zaznajomić z różnemi rodzajami pieców.

Powyższy system uczenia kucharstwa jest bardzo kosztowny ale znakomite daje rezultaty. (Zaczyna też on wchodzić w użycie u nas w kraju, a także i w Zakładzie).

Ciekawe są kursa gospodarcze (przeważnie nauka kucharstwa) dla dziewczynek 12—13 letnich przy szkołach powszechnych. Nauka się tam odbywa w sposób łatwy i b. przystępny — wykłady połączone są z praktycznym zastosowaniem. N. p. będąc w Kopenhadze na takim wykładzie o „jaju“ a nie umiając ani słowa po duńsku, doskonale zrozumiałam całą treść wykładu. Mowa była o tem, skąd się jajo bierze, o jego wartości odżywczej, o zastosowaniu w kucharstwie i t. p., — poczem nauczycielka pokazała (na kuchence gazowej) — 5 sposobów podstawowych gotowania jaj, przyczem jak najwięcej zadawała pytań, aby dziewczynki zainteresować. Nazajutrz uczennice musiały przyrządzać jaja tak samo, bez pomocy nauczycielki.

Nieco odmiennego typu są szkoły w Belgji. Tam w szkołach na prowincji duży nacisk kładą na ogrodnictwo, hodowlę, a szczególnie na naukę mleczarstwa: Prawie każda z tych szkół wyrabia większe ilości serów, jest zawsze kilka typów centrifygi, laboratorjum chemiczne i t. p.

W szkole wiejskiej, dla przychodnich córek gospodarzy, uczennice kolejno codziennie przynoszą mleko od innej krowy, dla zbadania jego tłustości. Same te próby robią, poczem następuje dyskusja czy dana krowa się oplaca, czy nie, — czy ją warto dalej hodować i t. p. Uczennice są tem żywo zajęte.

Na szczególną uwagę zasługuje seminarjum gospodarcze w Lacken, koło Brukselli, zorganizowane przez p. de Vuyst, szefa ministerstwa rolnictwa.

Myslą przewodnią szkoły w Lacken jest przygotowanie młodych dziewcząt do życia i do podniesienia rodziny. Stąd starają się usunąć cechę pensjonatu, a zastąpić ją atmosferą domową. Rygoru szkolnego prawie niema, swobody dużo, zostawione szerokie pole do inicjatywy. Przy szkole jest kilka małych sierot, któremi uczennice kolejno zajmować się muszą.

Co miesiąc uczennice zmieniają swe pokoiki, z których każdy jest odmiennie umeblowany, i same dopełniają umeblowania pokoju według swego pomysłu i gustu. Wielką uwagę zwraca się na to, aby praca wykonana była nie tylko jak najlepiej, ale jak najprędzej i najoszczędniej. W tym celu zaprowadzono system t. zw. chronometryczny, polegający na wykonywaniu każdej pracy podług zegarka.

Przy egzaminach nie kładą tyle nacisku na ilość nagromadzonych wiadomości, ile na inteligencję. Uczennice wiedzą zawczasu z czego będą mniej więcej pytane.

Egzamin jest teoretyczny i praktyczny, wymagają też napisania tezy z dziedziny gospodarczej lub społecznej.

Patent na nauczycielkę gospodarstwa otrzymują tylko te uczennice, które uzyskały $\frac{3}{4}$ stopni „bardzo dobrze“. Lecz w rachubę wchodzi nie tylko stopnie z egzaminu, ale także z całorocznej nauki. Brana też jest pod uwagę inicjatywa danej osoby.

W szkole w Lacken, zbudowanej zaledwie przed kilku laty, mają urządzenia według najnowszych wymogów — czuć tam żywotność i dążenie do postępu.

Według twierdzenia P. de Vuyst „szkoła powinna wyprzedzać społeczeństwo o lat 20“.

Po wojnie, (gdy dużo szkół uległo zniszczeniu) stworzono w Belgii szkołę wędrowną t. zw. „Ecole Roulotte“. Składa się ona z czterech wagonów kolejowych, mieszczących w sobie kuchnię, mleczarnię, pralnię, salę wykładową, która równocześnie służy za prasownię i jadalnię, i dwa pokoiki dla nauczycielek urządzone systemem kajut na okręcie. Szkoła ta zaopatrzona jest w motor elektryczny, zbiornik na wodę, wannę i mleczarnia choć mała, posiada kilka centryfug, ogrzewacz i prasę na sery, przybory do prób chemicznych i t. p. słowem wszystko tam jest, czego potrzeba do prowadzenia nauki gospodarstwa.

Szkoła ta przenosi się z miejsca na miejsce i urządza w różnych stronach kraju kursa gospodarce dla 18—20 przychodnich uczennic, córek gospodarzy.

Koszt urządzenia takiej szkoły obliczono w ubiegłym roku na 100.000 fr. belgijskich.

W Szwajcarii w Zürichu jest obok seminarjum i szkoły gospodarczej, dwuletni kurs dla „Zarządczyń“. Celem jego jest, kształcić fachowo zarządczynie do prowadzenia gospodarstwa w różnych instytucjach społecznych. W pierwszym roku uczennice przechodzą naukę gospodarstwa domowego, w drugim odbywają praktykę kolejno w trzech odmiennych instytucjach, pozostając jednak pod ścisłym nadzorem szkoły, do której uczęszczają jeszcze na uzupełniające wykdyła.

Podobne kursa dla „Zarządczyni“ są też w Genewie; tam teoretycznie może wyżej one stoja, ale pod względem praktycznym i ogólnego wyrobienia w Zürichu są lepiej postawione. W ogóle jest duża różnica między Szwajcarią francuską, a niemiecką. W Szkołach Szwajcarii niemieckiej znać gruntowną naukę, wielką systematyczność i ład, co trochę szwankuje we francuskiej części tego kraju.

Porównując szkoły tych czterech krajów, kilka następujących uwag nasuwa się na myśl.

W Danji i Holandji, kultura tak wysoko stoi, że trudno byłoby niejedno odrazu zaprowadzić u nas w kraju i trzebaby to robić bardzo umiejętnie, stosownie do warunków miejscowych. W każdym razie możemy stać się brać wzór pracowitości, ładu i porządku.

Choć milczenie nie nakazane, uczenie pracują w zupełnej ciszy; u personelu nauczycielskiego uderza spokój i opanowanie; temperament flegmatyczny północnych krajów przyczynia się może do tego.

W Krajach tych, wyczuwa się prawdziwe uszanowanie dla pracy ręcznej. Kształcenie kobiety o kierunku praktycznym jest tam kwestją pierwszej wagi, to też w oczy bije wielka ilość szkół gospod. i zawodowych. N. p. w Holandji na 7 milionów mieszkańców, około 50 tysięcy dziewcząt kształci się w szkołach gosp. i zawodowych, a szkół takich jest około 300. Napływ do szkół jest wielki; n. p. szkoła średnia gospod. domowego w Amsterdamie obliczona na 100 uczenic (externistek) ma ich 600. Toteż w niektórych szkołach odbywają się kursa dla jednych grup uczenic rano, a dla drugich po południu.

W tym stosunku biorąc, w Polsce powinny być kształcić w kierunku praktycznym około 200 tysięcy dziewcząt, a szkół takich powinny być 1200 najmniej.

W Holandji emerytury przyznane nauczycielkom, wypłacają im dopiero z ukończonym 65 rokiem życia, a do tego czasu muszą pracować bez względu na ilość lat pracy. Wyjątek stanowią osoby chore i do pracy niezdolne.

Belgia jest krajem o charakterze dość zbliżonym do Polski. Mamy z belgijczykami wiele wspólnych zalet i wad. Weźmy n. p. porządek; zapewne wyżej stoi jak w Polsce, ale nie jest to taki porządek „wkorzeniony“ jak u Duńczyków lub Holendrów. Przytem w szkołach gosp. nauka robi wrażenie mniej systematycznej i gruntownej, ale trochę powierzchownej.

Zato u Belgijczyków uderza ten ogromny wysiłek w kierunku gospodarezego podniesienia kraju. Zważywszy jak ten kraj był wojną zniszczony, ile szkół zostało poprostu z ziemią zrównanych, podziwiać można i naśladować Belgijczyków, którzy z taką rzutkością i energią zabrali się do odbudowy kraju. Toteż szkół gosp. nowych już wiele postawili na nogi, i ciągle ich przybywa. Starają się jak najwięcej nauczycielek gosp. kształcić zagranicą, w ogóle w tym kierunku nie żałują ani grosza, ani wysiłku. Krótko streszczając: z każdego kraju możemy inną korzyść wyciągnąć.

W Holandji i Danji możemy brać wzór porządku, ładu i poszanowania pracy.

W Szwajcarii przy tych samych zaletach, znajdziemy szczególną umiejętność organizowania pracy, systematycznego uczenia jej i rygor. W Belgii zaś, zrozumienie pracy i dążenie do ciągłych ulepszeń jest godne naśladowania.

* * *

Pani Jenerałowa zawsze dążyła do „postępu“ Przed wojną starała się co roku „coś“ w Zakładzie ulepszyć, czy to na skutek własnych doświadczeń, czy też czerpiąc wzory zagranicą.

Obecnie robimy też wysiłki, aby niejedno poprawić i ulepszyć po latach zastoju wojennego.

W zeszłym roku Zakład wysłał do Zurichu jedną z młodszych współpracownic p. Zdanowską na dwuletni kurs „Zarządczyni“ o którym wyżej była wzmianka.

A. Str.

Wrażenia z podróży do Lourdes.

Padwa.

Przyjechałam do Padwy w nocy o pół do 11-tej. Włosi są tak nahalni, że z trudem odpędzać musiałam tragarza, który chciał koniecznie zanieść moją walizę.

Dorożkarz, który mnie zawiózł do poleconego mi w Krakowie hotelu „Albergo Stella d'Oro“ wyglądał tak rozbójniczo, że pewną nie byłam czy mnie zawiezie gdzie powinien. Miałam ochotę zatrzymać dorożkę byle gdzie i wysiąść mimo nocy.

Hotel okazał się dobry, porządny. Padwa średniowieczna; przechodziłam obok uniwersytetu i doszłam do bazyliki. I znowu ta sama muzyka weneckich dzwonów. Fantazja całe opowieści z tej muzyki wysnuwa, zwłaszcza gdy leżałam jeszcze o świcie — a one grały tak potężnie, jak gdyby chciały zbudzić do czynu wielkiego.

Kilka rzeczy uderzyło mnie w Padwie, przedewszystkiem, że kobiet w restauracjach niema. Raz nie wiedząc co począć, weszłam do cukierni, bardzo przyzwoitej. Była tam jedna pani, która wkrótce wyszła. Zostałam z mego rodzaju samotna. Na szczęście mężczyźni, którzy wchodzili w wiek od młodości do późnej starości, zachowywali się zupełnie właściwie. Spoglądali wprawdzie z początku na mnie z pewnym zdziwieniem, ale tylko tyle...

W ogóle Włoszki zachowują się dobrze, ubierają się gustownie, ale skromnie. Jeżeli spotyka się kobiety o zbyt krótkich rękawach i sukniach, to sądząc z wyglądu, są to cudzoziemki, których więcej widziałam w Wenecji niż w Padwie.

Padwa, choć tak bliska Wenecji, nie ma tego międzynarodowego charakteru co Wenecja. Robi wrażenie jakby wspominała tylko blask dawno minionej świetności. Jest cichą, skupioną, spokojną — a sympatyczną, bo nie widać tam prawie ludzi bezczynnych.

Spotyka się dużo twarzy inteligentnych, świadczących o bliskości uniwersytetu. W sklepach pełno widziałam studentów, profesorów, wertujących książki medyczne lub podręczniki do prawa cywilnego, a na wystawach sklepowych nie widziałam powieści, a na

wet dzieł traktujących o sztuce. Wszystko świadczyło, że to siedlisko ludzi interesujących się naukami ścisłymi.

A mimo to, rzadko można było spotkać człowieka rozumiejącego choć trochę francuski język.

Mimo inteligentnego typu mieszkańców stałych czy czasowych Padwy, zrobili oni na mnie wrażenie ludzi dosyć ciasnych, zaśniedziałych nad swoją nauką, zapominających, że świat wielki, że poza ich wiedzą istnieje dużo, dużo rzeczy, które zdają się ich wcale nie interesować.

Ogromnie miłem mi było, że w bazylice św. Antoniego zastałam owych 2 ch Polaków zakonników, o których wspominali mi franciszkanie krakowscy. Jeden z nich O. Remigjusz chciał mnie nawet oprowadzić po biblioteczce przy klasztorze, ale przyjechałam o jeden dzień za późno. Od W. Czwartku do Wielkiejnocy była zamknięta.

Nie lubię modlących się Włozek. Mam wrażenie, że skupienie to dla nich takim męczeństwem, jak dla nas Polaków praca. Jedna z nich zapytała się mnie o coś, a widząc, że nie rozumiem, zaczęła mnie w kościele wypytywać skąd pochodzę i t. d. Musiałam otworzyć książkę, zatopić się w modlitwie i nie odpowiadać, by mieć spokój; a rozglądają się! nie tak jak Francuski, byle przyjrzeć się tualetom, ale ot dlatego, że na chwilkę nie umieją być spokojne.

Strasznie niecierpliwy to naród! W sklepie gdy w tej chwili nie mogłam się porozumieć, natychmiast następowały ruchy i wykrzykniki zniecierpliwienia.

Po 12 w nocy z W. czwartku na W. piątek wyjechałam z Padwy do Nissy. W wagonie miałam „teatr za darmo“. Jechałam z 2-ma Jugosławianami, mężem i żoną, ściśle mówiąc Sławończykami, ludźmi bogatymi. Jechała z nimi pewna niemiecka hrabina ze „Steiermarku“ z ich prawie stron. Mówili po niemiecku. Tak mnie bawił ten ich wzajemny stosunek. Sławończycy robili na mnie wrażenie bogatych dorobkiewiczów. Ona nawet w swej wielkiej uprzejmości, szczęśliwa, że jedzie z „prawdziwą hrabiną“ buciki jej wzięła. Nie wiedzieli na jakim tronle ją posadzić. Ona „Frau Gräfin“ protekcyjnie pozwoliła mi dołączyć się do siebie przy rewizji w Ventimille, ponieważ ją wszyscy znali, więc mi to ułatwiło tę sprawę. O 3-ciej popołudniu byłam w Nissie. *d. c. n.*

Kilka słów do matek.

Samodzielność dziecka.

Jeżeli pragniesz, by dziecko twoje pozostało twojem wtedy, kiedy przestanie już być dzieckiem, naucz się od małości widzieć w niem człowieka.

Gdy nosiłaś je jeszcze w łonie twojem, przypominało ci ono o swoim istnieniu, niezależnie od twojej woli. A czyż było związane z tobą kiedykolwiek ściślej? Miało jednak już wtedy swój byt odrębny i nie twojem się kierowało chceniem.

Pamiętaj o tem zawsze, że jeśli dziecię jest twojem, nie jest jednak twoją własnością. Jesteś jego opiekunką i winnaś za niego

decydować to wszystko, w czym ono swoją wolą kierować się jeszcze nie może. Ale od małego pamiętaj, że przyjdzie dzień, kiedy dziecię ci powie: jestem człowiekiem skończonym i czynię to co chcę. Przygotuj do tej chwili i jego i siebie.

Przyuczaj dziecko do drobnych decyzji człowieka — nie do samowoli, ale do odpowiedzialności. W wyborze szkoły, zawodu, przyjaciół, kieruj się nie swymi pragnieniami, ale wolą Bożą, objawioną w skłonnościach i zamiłowaniach dziecka.

Ćwicz się w stosowaniu do upodobań dziecka twego, do pozostawiania jego decyzji obojętnych drobiazgow, Rób przynajmniej czasem coś, czego ono pragnie, choćby to nie odpowiadało twojemu usposobieniu czy upodobaniu.

Młodzież bardzo zazdrosna jest o swoją samodzielność. Gdy dziecko jest jeszcze dzieckiem, a nie młodzieńcem, niechaj już rośnie w tem poczuciu, że twój zakaz i rozkaz wypływa z pobudek poważnych, jego dobro mających na celu, a że dobro jego pojmujesz zgo dnie z treścią jego duszy.

Z rokiem każdym rozszerzaj pole jego swobody i jego decyzji, wpływając na niego, lecz nie narzucając mu siebie. Pozwól mu raczej się sparzyć, a nie żeby miało być zmuszonem do ślepej wiary w to, że ogień parzy. Byle tylko palec włożyło w płomień świecy, a nie rękę w ognisko.

Tak postępując, wychowasz człowieka czynu, człowieka, który będzie kimś — wszystko jedno czy to córka twoja, czy syn. Takl człowiek, nawet w dojrzałym wieku przyjdzie do ciebie po radę i wskazania, zamiast by miał się buntować już wtedy, gdy będzie na to o wiele zawcześnie.

J. Z.

Wiadomości.

Powrót z wakacji bardzo się w tym roku opóźnił wskutek wypadków majowych.

Niektóre z Pań nie mogąc opuścić Zakładu w czasie ogólnych wakacji, wyjechały na czerwiec i część lipca.

Seminarzystki wzięły się pilnie do pracy ze względu na zbliżający się termin egzaminów rocznych, które zadecydują o ich przejściu na kurs drugoroczny.

Czwartek każdego tygodnia został przeznaczony na wycieczki lub dalsze przechadzki.

Z jednej strony uczennice używały na pięknościach przyrody, z drugiej przeprowadziły poważną pracę duchową, biorąc udział w tak zwanych Ćwiczeniach duchownych, które się urządzają co rok dla tych które mają Zakład opuścić.

Ćwiczenia te polegają na tem, że przez kilka tygodni z rzędu uczennice biorą po jednym dniu skupienia, w czasie którego zastanawiają się nad niektórymi prawdami wiary i nad obowiązkami życia chrześcijańskiego. Nauki w czasie tych ćwiczeń miewał w tym roku ks. Chmielewski nasz dawny kapelan.

Jedna z kuźniczek warszawskich p. Mohlowa urządziła zebra nie kółka w letniej swojej siedzibie pod Warszawą w Milanówku, gdzie spędzono bardzo mile większą część dnia.

Miały też miejsce zebrania towarzyskie u niektórych kuźniczek jak p. Jętkiewiczowej, Jełowickiej.

Na jednym z nich, żegnano ze smutkiem p. Paczkowską, która przeniosła się na stałe do Poznania.

Jedna z dawnych uczeniczek prosi nas o przepis na rogałe na sposób francuski; podajemy go w Pisemku, bo się może innym przydać.

Rogałe Paryskie proporcja na 50 do 60 rogali. Pięć do sześciu litrów mąki zależnie od jej jakości i suchości 50 gr. drożdży 1 litr mleka 1 litr wody 50 do 60 gr. soli 500 do 750 gr. świeżego niesolonego masła. Rozpuścić drożdże w 1 litrze letniej wody wycpać 2 lit. mąki pszennej rozmieszać, żeby nie było grudek, wybić, posypać mąką z wierzchu i postawić w ciepłym miejscu na 1 lub 1½ godz. Gdy podejdziesz, rozpuścić sól w 1 lit. ciepłego mleka wlać do ciasta, dodać 2 do 3 lit. mąki, wyrabiać i wybijać póki od rąk nie odstanie. Wtedy włożyć ciasto na stolnicę, posypać mąką rozwałkować na palec grubości i nakładać masło kawałeczkami dość gęsto. Następnie złożyć ciasto dwa razy we troje, przewałkować parę razy ale nie długo, bo chodzi o to, aby masło pozostało w kulkach, a nie utworzyło jednolitą masę znów złożyć dwa razy we troje, zawinać w płótno i położyć na lód na 2 do 3 godzin, aby dobrze zmarzło. Dobrze obłożyć ciasto lodem z wierzchu i po bokach. Może leżeć na lodzie nawet do następnego dnia. Zdjąwszy z lodu, kulać bułeczki po 50 gr. układać na stolnicę, niech podrastają z jakie pół godziny. Po wyrośnięciu, bułeczki rozwałkowywać i zwiąć i znów pozwolić im nieco wyrosnąć przez mniej więcej pół godz. ułożyć na blachy nadając im kształt półkoła. Na blachach powinny dobrze wyrosnąć, poczem wstawić do gorącego pieca na 15 do 20 minut. Przed samem wsadzeniem do pieca i zaraz po wyjęciu należy posmarować rogałe zimną wodą dla połysku.

Do tego pieczywa trzeba jak najwięcej pary; parę wytworzyć można lejąc do pieca gorącą wodę i wkładając mokre płaty.

Zawiadomienie.

Dawna uczennica Zakładu p. Karolina z Szumańskich doktorowa Drabczykowa poleca podać do „Pisemka“ że przyjmuje kształcące się panienki na stancję: daje mieszkanie we wspólnym lub oddzielnym pokoju z utrzymaniem. Adres: Warszawa, wprost dworca głównego, al. Jerozolimskie 37 m. 2 telef. 196,00

Ślub. Panna Cecylja Głowacka uczennica Kuźnic z roku 1924 wyszła za p. Zbigniewa Zielińskiego, ślub odbył się d. 12/7 b. r. w Bytomiu. Szczęść im Boże!

Intencja.

Modlitwa za misjonarzy i prace misyjne.

Niema nic droższego na świecie nad duszę.

Rozdać skarby niezmierne biednym jest niżej w porównaniu do pozyskania jednej duszy Bogu. Sw. Karol Boromeusz.

Praktyka. Ćwiczenie się w karności w celu przeciwdziałania temu, co pod tym względem brakuje tak bardzo w naszym kraju.